Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena pojedyńczego numeru 30 gr.

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA — DWUTYGODNIK

N 16 R 3

POD LUPĄ

Czechy, Polska i panslawizm.

Ostatniemi czasy wciąż dowiadujemy się o coraz to nowych aktach gwałtu ze strony władz czeskich, które szykanują ludność polską nad Olzą. Pomijając stronę merytoryczną kwestji, dziwić się wypada jednemu: pisma polskie wyrzucają Czechom, że postępują nieładnie w stosunku do bratniego narodu, także słowiańskiego i t. p. Smutny to objaw. Szczęściem Polski w ciągu całej jej historji było, że nigdy nie czuła się narodem słowiańskim. Utrzymywała kontakt ze Wschodem czy z Zachodem, ale nigdy nie hodowała bakcyla panslawizmu. Żeby odkryć wyraźną szkodliwość podsycania wogóle plemiennych sympatyj, zamiast sympatyj kulturalnych, gospodarczych, czy politycznych (np. Polska — Włochy — Węgry — Franja) wystarczy porównać dorobek np. literacki narodów słowiańskich. Jedynemi literaturami, które coś do ogólnej światowej literatury wnoszą to są literatury polska i rosyjska. Akurat te literatury, które najmniej zajmowały się swoją słowiańskością. (Tu potrzebne jest omówienie: Rosja owszem, mówiła o panslawizmie, ale tylko o tyle, o ile miałaby tam miejsce rządzące). Cóż jednak wiemy o literaturze czeskiej, bułgarskiej, serbskiej czy słowiańskiej? Przecież za pisarza (a były ich dziesiątki) nie uważa się tam człowieka, który napisał mniej niż 20 tomów poezyj i powieści. Oczywista przyczyną braku rozgłosu pisarskiego jest niski poziom tej literatury. Ten stan został wytworzony dzięki temu, że młode, w powijakach zaledwie znajdujące się literatury, uznały za swój naczelny cel być literaturami słowiańskiemi, co identyfikowano z pierwiastkami ludowemi. Odtąd przez 100 lat zgórą cała ta twórczość jest niemal całkowicie złożona z przeróbek i warjacyj „pieśni gminnej". Żadnego ożywczego prądu, żadnego świeżego pomysłu. U nas stał na pograniczu tego „kierunku" Brodziński, (prapradziad p. prezydenta m. Tarnowa) na szczęście bezskutecznie. Smutno, że dziś zwracamy się do kryterjów slowianistycznych, które straciły swą aktualność conajmniej przed tysiącem lat.

Na wschodzie Polski wieś wraca do sochy.

Wiadomo, że Wileńszczyzna, dzięki tysiącom powodów, jest krajem o niesłychanie niskiej kulturze rolnictwa. Ponadto kraj ten jest zagwożdżony gospodarczo przez odcięcie kontaktu z Kownem i Bałtykiem. Po wojnie rozpoczęto agitację na rzecz udoskonalania gospodarki rolnej. W istocie, kraj o warunkach geologicznych i atmosferycznych prawie identycznych z warunkami Szwecji, produkuje 10-tą część tego, co produkują Szwedzi. Łubin jako nawóz dotąd jeszcze nie zyskał powszechnego uznania. Najcięższą walkę stoczono jednak o sochę. Wreszcie, po dziesięcioletniej walce, pług zdawałoby się zapanował niepodzielnie. Zaszła jednak nowa komplikacja. Pług jest niestety wyrabiany ze stali i z żelaza i łatwo ulega rdzy. Co kilka lat trzeba sprawić nowy pług. Koszt instrumentu wynosi około 30 — 40 zł. Jest to suma, która w warunkach dzisiejszych stanowi w wielu wypadkach całoroczny budżet wieśniaka. A podatki, a buty, a żywy inwentarz, a sól i t. d. Nic więc dziwnego, że rolnik stara się być samowystarczalny. Sam wyrabia dla siebie ubranie, nosi łapcie zamiast butów, zamiast pługa majstruje sochę. W środku Europy, w wieku XX-tym uprawia się ziemię w sposób prasłowiański.

Sprostowanie.

Przez przeoczenie zostały przestawione w numerze niniejszym dwie strony: str. 4-a winna być na miejscu str. 5-ej i odwrotnie.

W NUMERZE:

Sól i ziemniaki.

A cóż jada wieśniak na Wileńszczyźnie? Każdy kto rozmawiał z gospodarzem z Kresów Wschodnich („Wschodnich rubieży Rzeczypospolitej") słyszał mniej więcej taką odpowiedź: „Rządy polskie są lepsze niż rosyjskie. Ale ceny dwóch rzeczy trzeba obniżyć: podatków i soli". Ależ każdy inteligent powie: sól to wydatek groszowy, miesięcznie wychodzi tego na 30—50 groszy. Tymczasem na wsi jest inaczej. Nabiał, szynki, wędliny i t. p. idą na sprzedaż. Wieś żywi się stale, przez cały rok, niemal bez przerwy kartoflami i kluskami z mąki. Zaprawia się to trochę słoniną, lecz to minimum nie dodaje im smku. Do kartofli więc zużywa się niewiarygodne wprost ilości soli. Rodzina złożona z 5-ciu osób konsumuje rocznie niekiedy ponad sto kilo soli. (Proszę pomyśleć, co się dzieje z tak żywionemi żołądkami).

Rząd dąży obecnie do polepszenia stanu rolników. Niewątpliwie nie doprowadzi do tego, by na talerzu każdego obywatela leżała kura. Ale już dziś wschód Polski otrzymuje na bardzo dogodnych warunkach sztuczne nawozy. Czyby się też nie dało obniżyć maksymalnie cenę soli kuchennej, jedynego niemal produktu, który rolnik „ze wschodnich rubieży" dziś jeszcze nabywa.

Ostempluj sobie zapalniczkę.

Kiedy ostatnio w sprawozdaniu budżetowem wykazano roczny dochód ze stu kilkudziesięciu zapalniczek, za które ich właściciele opłacili należny podatek, powstał śmiech na sali sejmowej: było tam napewno więcej zapalniczek, niż sprawozdanie podawało dla całej Polski. Ale oto autentyczny wypadek:

Znalazł się taki obywatel, który postanowił zapalniczkę wbrew wszystkim ostemplować. Zgłosił się do odpowiedniego urzędu skarbowego. Tam mu zapalniczkę zabrano i kazano złożyć specjalne podanie ze znaczkami—wszystko, jak trzeba. Uparty obywatel podanie takie złożył. Zapalniczka i podanie leżą sobie spokojnie w urzędzie. Po trzech miesiącach dostaje nasz obywatel wezwanie do urzędu. Pędzi uradowany, ale gdzie tam! — nikt mu jego zapalniczki nie oddaje, natomiast rozpoczyna się badanie. Gdzie ją kupił? Dlaczego kupił? Za ile kupił? A czy wie, że trzeba mieć pozwolenie na sprzedaż? i t. p. Lojalny obywatel ledwo zemknął. Obecnie czeka nakazu karnego. — Za co? — Za zapalniczkę! Bo już napewno w Polsce takiej rzeczy płazem się nie puszcza.

A teraz, Czytelniku, ostempluj sobie zapalniczkę.

Artykuły o drzewkach.

Gdy się czyta w przeróżnych pismach specjalne rubryki, poświęcone życiu naszych miasteczek, noszą one z reguły takie tytuły: „Święto sadzenia drzewek", „Uroczystość u Strzelców", „Jubileusz Straży Pożarnej", „Poświęcenie sztandaru", „Dzień morza", „Dzień powietrza", „Dzień gór" i t. d. (Nie mówimy o odrębnych rubrykach poświęconym, bójkom, kradzieżom i zabójstwom). Wypisuje się przytem obszerne sprawozdania o dygnitarzach miejscowych, o entuzjazmie ludności i inne rzeczy w tym stylu. I to ma być czemś najciekawszem w życiu małego ośrodka prowincjonalnego? Informacje te opierają się z reguły na prowincjonalnych grafomanach, którzy przy okazji „uroczystości" wypływają na szpalty pism. Potem robią sobie gazetowe wycinki i powiadają: — Jestem współpracownikiem prasowym...

Oczywiście, te wszystkie oficjalne uroczystości, święta gór, lasów, te przyjazdy i odjazdy, powitania i pożegnania — to wszystko jest w życiu miasteczek najmniej istotne. Tworzy się jednak sugestja, mit, że jest to praca dla narodu i państwa, dla kultury, omal, że nie dla „całej cierpiącej ludzkości". Tymczasem ludność miejscowa, ludność miasteczka jest zbyt bierna, by swe prawdziwe bolączki, swe istotne radości i święta przedstawić społeczeństwu, nieraz sama ich nie widzi lub nie docenia, lekceważy, pomija. I tu leży kolosalne zadanie przed prasą. Wydobyć to, co w małych ośrodkach prowincjonalnych jest naprawdę godne wydobycia; wskazać na te wartości, które w nich są, a których niejednokrotnie wielkie miasto nie posiada. Przedstawić specjalne zadania małych prowincjonalnych miasteczek (próbowaliśmy je sprecyzować w specjalnym numerze PAX-u, poświęconym miasteczku — Nr. 7, b. r.).

Prasa może być dźwignią, która ruszy sprawę z miejsca. Niestety, zbyt jest dużo w naszej prasie rutyny, aby mogła być twórcza. zbyt dużo jest tych drzewek, gór, mórz, prezesów i frazesów, starostów i bib reprezentacyjnych, akademij i obchodów. Całkiem zaś niema... życia.

PAX
O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA
DWUTYGODNIK
WILNO - POZNAŃ - KRAKÓW - LWÓW - WARSZAWA
ROK III — Nr. 16 15 LISTOPADA 1935

MARJA WINOWSKA

RELIGJA I ŻYCIE

Był czas, kiedy człowiek znał i uznawał swoją jednolitość. Pod płaszczyzną zmiennych uczuć, odruchów, nastrojów, umiał odnaleść tę rzecz nieskończenie prostą, o której, jak o Bogu, można tylko powiedzieć, że jest: własną duszę. W niej, jak w soczewce, skupiały się rozstrzelone sprawy życia, przez nią otrzymywały swój sens. Życie zewnętrzne i życie wewnętrzne przenikały się wzajemnie, ku wzajemnemu pomnożeniu i bogactwu. Nie znaczy to, że przymierze było łatwe: tworzyło się i trwało w bolesnem napięciu pomiędzy tem, co w człowieku idzie w górę i tem, co rozrasta się wszerz: pomiędzy religją i życiem. Rozpięty na krzyżu niewspółmierności spraw doczesnych, których jest włodarzem i panem — i spraw wiecznych których jest dziedzicem—**człowiek tworzył kulturę.** Był trud, było ryzyko, był ból ukrzyżowania — **i było pełne życie. Człowiek był cały — i człowiek był sobą.** Rozpięciem ramion ogarniał świat, stojąc twardo na ziemi, w górę rósł. **Pomiędzy religją i życiem było twórcze napięcie, nie było rozłamu.**

Rozłam rozpoczął się w chwili, gdy człowiek, pod pozorem dążenia do jedności i do jasności, zaczął sztucznie **upraszczać.** Stałą pokusą naszego umysłu, przed którą wciąż musimy się bronić, jest wybieranie w tem, co jest nam **dane,** jako materjał doświadczenia i użytku, **takich** tylko pierwiastków, z których złoży się nam apriorycznie pomyślana teorja: to co nie mieści się w formułce, przestaje mieć prawo istnienia. Ale życie rozpiera formułki, ponad **schematami** istnieją **tajemnice.** Zamiast liczyć i kombinować od spodu, warto niekiedy stanąć przed tem, co jest, z owem młodem zdziwieniem, które, jak mówią Grecy, było początkiem filozofji. Jednym z wielkich grzechów współczesnego człowieka, jest to, że oduczył się dziwić, że wstydzi się okazać zdziwienie. Papier, ołówek i cyrkiel, wydają mu się mądrzejsze niż przepych świata. Znamiennym trafem, wiek, który za wszelką cenę starał się wyjaśnić tajemnicę współżycia duszy i ciała, (ucieszna „glans pinealis“ Kartezjusza) był zarazem wiekiem rodzącej się mechaniki, wiekiem, w którym przemyślni reformatorzy nie mogli ścierpieć współistnienia wszystkowiedzy Bożej i wolności człowieka; w którym, poprzez wspaniały miąższ istnienia, coraz to szły gordyjskie cięcia, preparujące ad usum Delphini, teoryjki i teorje. Pod wpływem Lutra i jego asysty, życie i religja wzięły rozwód. Człowiek rzekł się bolesnego napięcia pomiędzy niebem i ziemią, podzielił się na szufladki. Religja swoją drogą („**wiara** zbawia“), życie swoją drogą (uczynki dla uczynków“).

To nie pamflet, to prawda. Od tego rozczepienia, choruje dziś Europa śmiertelnie. Podzielone serce ludzkie, nie może tworzyć pokoju i jedności. Widzimy, jak wszystko się rozproszkowuje i rozpada, jak wszystko skrzypie, rwie się i mąci: wysiłki dążące do przywrócenia ładu, czy to na planie politycznym, czy to na planie gospodarczym, operują jakby na terenie sztucznym, środkami zawodnemi. Nie mają sprzymierzeńca w samym człowieku, który najczęściej, zwłaszcza w momentach trudnych, jest bezradny wobec własnej wielości. I znów narzuca się metoda sztucznego upraszczania: „Skoro bezład w samym człowieku stoi na przeszkodzie przywróceniu ładu w świecie, zanegujmy człowieka i jego bezład. Zróbmy zeń kółko i pionek“. Bolszewizm, to jedna z najciekawszych imprez pozornego rozwiązania trudności metodą upraszczania. Ale problem nie przestaje istnieć, narzuca się tem tragiczniej.

W Polsce system szufladek jest domorosłym sprzętem. Życie zewnętrzne i życie wewnętrzne płyną najczęściej dwoma torami, które u pewnych jednostek nie spotykają się ze sobą do grobowej deski [1]). Biorę oczywiście takie wypadki, w których zmysł religijny nie uległ atrofji na skutek przerostu życia zewnętrznego. Bo nawet tam, gdzie **istnieje** religja i gdzie **istnieje** życie, niema najczęściej wzajemnego oddziaływania obu wartości: co więcej, jedna zdaje się istnieć kosztem drugiej. W mentalności przeciętnego polskiego katolika poziom życia religijnego jest odwrotnie proporcjonalny do poziomu wytwórczości i sprawności życiowej i dlatego, jeżeli chce się „żyć“, lepiej trzymać się od Pana Boga na dystans. Polski fideizm, to przemycone protestanckie dziecko, jest tylko jednym z przejawów tego „szufladkowego“ systemu. Dość, jeżeli się Bogu i świętym Pańskim otworzy separatkę uczucia i tradycyjnego nastroju—rozum może iść swoją drogą, choćby na złamanie karku: jedno drugiemu nie zrobi krzywdy. Podobnie życie zewnętrzne, obywatelskie, rodzinne, może się kształtować niezależnie od przekonań, często wbrew przekonaniom religijnym. Dwudzielność ta naogół nikogo nie dziwi, nikogo nie gorszy, wydaje się wynikiem „stanu rzeczy“, czemś, z czem trzeba się pogodzić, co trzeba przyjąć jako zło konieczne Postulat **harmonji** pomiędzy religją i życiem, pomiędzy religją i kulturą, przeciętnemu polskiemu inteligentowi najczęściej wogóle się nie nasuwa, istnieje conajwyżej problem **wyboru,**—pomiędzy dwoma wartościami, które się nawzajem wykluczają. Nie czas tu i nie miejsce doszukiwać się genezy tego dualizmu, który więcej może jeszcze niż protestantyzmowi, zawdzięcza schyzmatyckiej Rosji. Pamiętajmy, że Polska wdziera się klinem pomiędzy dwa potężne kraje, w których rozwód pomiędzy religją i kulturą—zresztą na skutek odmiennych historycznych przesłanek—dokonał się przed kilku wiekami i w dalszym ciągu trwa. Prawem historycznego i geograficznego ciążenia, Polska ulegała i musiała ulegać tym wpływom. Możnaby napisać całą rozprawę o rusyfikacji kultury polskiej pod byłym zaborem rosyjskim. **Ale może właśnie wielką historyczną rolą Polski, jest straż nad godnością człowieka, nad godnością całego człowieka, budującego siebie i swoją rzeczywistość polityczną i społeczną w twórczem napięciu wartości wewnętrznych i wartości zewnętrznych, religji i kultury.** Powiedzmy sobie odrazu: walka nie jest ani prosta, ani łatwa. Potrzeba wielkiej, skupionej czujności, aby wytrwać na obronnym szańcu, o który, od wschodu i od zachodu, rozbijają się fale rozkładu i zdrady człowieczeństwa. Potrzeba jasnej samowiedzy i wielkiej prawości myślenia, aby przełamać mit dualizmu, zaszczepiony zdradą, w którym, jak w legendzie Arimana i Ormuzda, wrogie siły pożerają się wzajemnie, kalecząc człowieka. Potrzeba odwagi na przyjęcie siebie z całem bogactwem przeciwnych dążeń, które w bolesnem nieraz napięciu, tworzą tajemnicę osobowości: jak drzewo, które tem głębiej wrasta w ziemię, im śmielej rwie się ku słońcu. Myli się ten, kto chce uzyskać bogactwo korony, nie dając gruntu korzeniom.

Nie znaczy to, że harmonja pomiędzy religją i życiem da się osiągnąć hic et nunc. W założeniu naszego bytowania tu na ziemi, jest **dążenie,** nie zaś **zdobycie i trwanie,** jest dynamizm, nie bezruch. Lojalne przyjęcie i godzenie w sobie odmiennych praw ciążenia, jest sprawą walki całego życia. Akcja pacyfikacji wewnętrznej, jak i zewnętrznej, jest zawsze owem matematycznem „limes“, do którego się dąży i przybliża coraz bardziej, choć nie osiąga bez reszty za życia. Rzecz w tem, aby przyjąć to pra-

[1]) Mówiąc o polskim katolicyzmie, mam na myśli stan **przeciętny,** pomijając z rozmysłu te wszystkie, coraz liczniejsze wyjątki, które są już dziś przezwyciężeniem dualizmu pomiędzy religją i życiem i zapowiadają odrodzenie.

wo walki, aby przyjąć ryzyko, aby nie abdykować z żadnej połaci własnej duszy, nie sprawdziwszy uprzednio, czy czynimy tak dlatego, że jest zła, czy też dlatego, że w tem uproszczeniu żyć nam wygodniej. Jest w człowieku dążenie do Boga— i jest dążenie ku ziemi; jest związanie z niebem (religja, religo wiążę) i jest związanie z ziemią. Obie sprawy legitymują się prawem Bożem, jak drzewo, którego korona nie jest hańbą korzeniom. Pogłębienie religijne musi być wprost proporcjonalne do pogłębienia kulturalnego, jeśli autonomja i współdziałanie obu dziedzin zostaną uznane. Negacja jednej dziedziny pociąga nieuchronnie obniżenie, lub skarlenie drugiej. Ale oprócz negacji istnieje jeszcze jedna forma skrzywiania problemu, która jest również sztucznem uproszczeniem: wciąganie jednej dziedziny w służbę drugiej. podporządkowywanie religji kulturze, lub kultury religji. Typowym objawem pierwszego zboczenia jest francuska Action Française; w Polsce te wszystkie formy partyjne, które wciągają katolicyzm w służbę polityki. Drugi znalazł swój skrajny wyraz w przedwojennej Rosji. gdzie życie gospodarcze, społeczne nawet polityczne, było podporządkowywane postulatom czysto religijnym, dopóty, dopóki zbuntowane kadry doczesne nie pękły same w terorze rewolucji. I tu i tam, pod pozorem dyktatury walorów doczesnych, lub walorów wiecznych, ostatecznie się je przegrywa. Maurras, wyznawca rzymskiego ładu, widząc w religji tylko dyscyplinę moralną dla realizacji celów politycznych, Maurras i jego świta, szerzą bezwład. Rosyjski ortodoks dopóty odżegnywał się od spraw doczesnych jak od królestwa szatana, dopóty negował życie, aż życie wzięło górę przeciw niemu i poza nim w całkowitej negacji religji.

Ktoś wielki i ważny powiedział: „Polska będzie katolicka, albo jej nie będzie“. W słowach tych mieści się wielki, kulturalny, nietylko religijny—sens. Może bardziej jeszcze od swych granic, Polska musi bronić człowieka, zagrożonego od wschodu i od zachodu w tem, co jest w nim najistotniejsze: **w harmonijnem i twórczem współdziałaniu religji i życia. To zaś jest jednym z najgłębszych postulatów katolicyzmu.**

ANTONI MIROWICZ

FRONT LITERATURY — FRONT JĘZYKOZNAWSTWA

(Dokończenie).

Natura języka jest estetyczna i poetycka, natura zaś poezji językowa.

W artykule tym, nie przeznaczonym dla fachowców, nie mogę zagłębiać się w kwestje specjalne. Oczywiście Vossler posługuje się w swojem rozumowaniu doświadczeniem jązykoznawcy, i tylko ono umożliwia mu to rozumowanie. Opowiem, jak wyglądają jego koncepcje, w najogólniejszych zarysach i w nieco wolnej interpretacji.

Według ogólnego mniemania uczonych na podstawie języka złożyły się dwa czynniki: naturalna skłonność istot żyjących do ekspresji oraz umowa społeczna. W mowie, służącej do porozumiewania się ludzi ze sobą, wysuwa się na pierwszy plan element umowy, poprostu dlatego, że mowę rozpatrywaną jako środek porozumiewania się wypadnie nawet określić jako system umówionych znaków (de Saussure).

Że w mowie poetyckiej chodzi przedewszystkiem o ekspresję („sobie śpiewam i muzom“), nie wymaga objaśnień; więc mowa poetycka jest w pierwszym rzędzie środkiem wyrazu. To, co w mowie potocznej jest umówione i stosunkowo ściśle ustalone, mianowicie—znak językowy określonej treści psychicznej, w poezji jest stosunkowo dowolne; jest to jasne, gdyż sama treść psychiczna nie jest w poezji konwencjonalna i powtarzająca się, jak w mowie potocznej. To też poezja, biorąc swe znaki językowe z języka mówionego, podkłada pod nie mniej lub więcej nową, mniej lub więcej zbliżoną do starej treści. W poezji niema, albo przynajmniej nie powinno mieć miejsca, jeżeli wogóle nie wypada powiedzieć „bierne“, to powiedzmy „medjalne“ korzystanie z gotowego materjału językowego, lecz zawsze występuje **twórczość językowa** we właściwem znaczeniu tego słowa. Dlatego zewnętrzna strona języka, która w mowie potocznej jest zmechanizowana, w języku poetyckim jest żywa, jakoby płynna, oczywiście nie do tego stopnia, by zupełnie wyłamywała się z pod systematyki gramatycznej. *) Nowe znaczenie, które poeta wkłada w powszechnie używany wyraz, musi w jakikolwiekbądź sposób kojarzyć się ze znaczeniem ogólnie przyjętem, nie może tu poeta całkiem pogwałcić praw, rządzących rozwojem semantycznym. Nawet nowotwór naogół biorąc musi posiadać jakąś etymologję. Estetyczna wartość słowa w poezji ściśle zależy od warunków natury gramatycznej.

Płynność zewnętrznej szaty języka w poezji jest także w znacznej mierze uwarunkowana odmienną niż w mowie potocznej „instrumentacją“ (dobór i kombinacja jednostek, realizujących poszczególne funkcje w całości, czyli w naszym wypadku — podział funkcyj pomiędzy poszczególne wyrazy). Podczas gdy w mowie potocznej instrumentacja jest podporządkowana w głównej mierze względom semantyczno-składniowym, w mowie poetyckiej wchodzi w grę jeszcze jeden czynnik, którego rola w języku mówionym jest tak mało ważna, że w praktyce nie bierze się jej pod uwagę, — jest to muzyczny element mowy. W poezji rytmiczne uporządkowanie mowy gra niewątpliwie większą rolę — w poezji wierszowanej zasadniczą. Przez rytmikę mowy poetyckiej należy rozumieć nietylko rytm iloczasowy,—język poetycki posiada zwykle mniej lub więcej uchwytną rytmikę znaczeniową i emocjonalną, w poezji wierszowanej mamy także rytm jakościowy elementu dźwiękowego — rym. Względy rytmu i rymu niewątpliwie bardzo wpływają na „instrumentację“ mowy poetyckiej, rola zaś ich jest czysto artystyczna, są one czynnikami organizacji kompozycyjnej, czyli są podporządkowane prawom estetyki. Te prawa estetyki znowuż przełamują tu wszelką konwencjonalną mechanizację, ale konsekwentne odrzucanie zwyczaju językowego i gramatycznej struktury mowy prowadzi do dziwactwa, jakiem niewątpliwie jest dadaizm. Związek pomiędzy melodyką wiersza a gramatyką może istnieć tylko w takich językach, w których intonacja spełnia funkcje gramatyczne. Bezwarunkowo vice versa w mowie potocznej, gdzie główną zasadą jest gramatyka, estetyka ma wielki wpływ na strukturę powiedzenia. Chociażby nawet dlatego, że mówiący, chcąc być dobrze zrozumiany. dba o to, by współrozmówca chciał go słuchać uważnie, stara się więc wyrażać się nietylko możliwie ściślej, ale także dosadnie, plastycznie, z umiarem, tak, żeby jego mowa była sugestywna i sprawiała przyjemne wrażenie. Możliwe, że jakaś bardzo niechlujna mowa jest całkiem pozbawiona momentu estetycznego, lecz z teoretycznego punktu widzenia zakomunikowanie jakiejkolwiek treści psychicznej jest jednocześnie jej wyrażeniem, czyli aktem o charakterze estetycznym. Pozatem w historji języka ewolucja znaczenia wyrazu głównie polega na metaforze, która niewątpliwie jest chwytem czysto artystycznym. Także i naodwrót, analizując istotę chwytów stylistycznych, przyjdziemy do wniosku, że u ich podstawy leżą kategorje gramatyczne.

Z takich i tym podobnych rozważań wynika, że istotnie natura języka jest estetyczna, natura zaś poezji językowa i gramatyczna. Dlatego też musi istnieć i istnieje bliska współzależność pomiędzy stylem a strukturą gramtyczną języka. Funkcje estetyczne i gramatyczne są niejednakowe w poezji i w mowie potocznej. Formaliści rosyjscy zajmują się badaniem specyficznych cech funkcji gramatycznej w poezji, idealistyczna neofilologja badaniem funkcji estetycznej zarówno w poezji, jak w języku mówionym.

Zdaje mi się, że już na tle powyższych powierzchownych uwag wartość wyszkolenia językowego dla stylisty i wogóle dla badacza literatury oraz wartość znajomości techniki poetyckiej dla językoznawcy jest oczywista.

Utwór literacki jest przedewszystkiem dziełem sztuki.

Pozostaje mi jeszcze do powiedzenia parę słów o znaczeniu i roli estetycznej krytyki literackiej Nasza publiczność posiada chwalebną inklinację do etycznego i ideologicznego wartościowania dzieł i tworów literackich, lecz uważa zwykle, że wartość etyczna i ideologiczna pokrywa się z wartością artystyczną i wogóle nie jest przyzwyczajona przeżywać i ujmować utwór literacki jako dzieło sztuki. Tego przedewszystkiem trzeba ją nauczyć, bo od tego zależy kulturalny stosunek do literatury; może wtedy nie usłyszy się o cennym utworze zdania, że jest on nic nie wart, dlatego że nie zgadza się z rzeczywistością, albo, że trzeba go zniszczyć, ponieważ występują w nim typy ujemne. Dydaktyka nie jest ani jedynym, ani głównym celem dzieła sztuki, zresztą walory czysto artystyczne wywierają także wpływ uszlachetniający. Krytyka estetyczna ma obecnie do spełnienia zasadnicze zadanie krytyki — podniesienie poziomu artystycznego ogółu, nauczenie go obcowania z dziełem sztuki, nie zważając na to, że chciałby czegoś całkiem innego. Nie chodzi mi o zdyskredytowanie innych kierunków krytyki literackiej, lecz jedynie o podniesienie do równej godności i równouprawnienie zahukanej dziś krytyki estetycznej.

*) Czoce i Vokler zamłodu niesłusznie uogólniali tę właściwość, przyjmując ją językowi wogóle.

STANISŁAW STOMMA

ŚCIĘTE RÓŻE

Jesteśmy w okresie rewolucji. Temi słowami rozpoczyna szwajcarski profesor Gouzague de Reynold swoją książkę o jaskrawym tytule „L'Europe tragique".

Falowanie wywołane wstrząsem rewolucji francuskiej trwa do dnia dzisiejszego. Okres rewolucji francuskiej dopiero w chwili obecnej dobiega końca — proces rewolucji dosięga dna. Ta teza jest przewodnią myślą książki. Na 500 stronach swego dzieła De Reynold usiłuje udowodnić, że pomiędzy rewolucją francuską i bolszewizmem zachodzi bardzo ścisły związek przyczynowy. Bolszewizm jest koniecznem logicznie następstwem rewolucji francuskiej.

Myśli autora tak można streścić: rewolucja francuska rzucając hasło wolności, zrodziła liberalizm polityczny i gospodarczy. Ale liberalizm gospodarczy okazał się jaskrawem zaprzeczeniem innego hasła rewolucji, mianowicie hasła równości. Wolność gospodarcza streszczona w zasadzie „laiser faire laiser passer" spowodowała wytworzenie się nierówności materjalnych pomiędzy ludźmi tak zawrotnie wielkich, jakich sobie nawet nie wyobrażano w średniowieczu lub w okresie oświeconego absolutyzmu. Postulat równości, postulat demokracji zwrócił się ostrzem przeciw liberalizmowi gospodarczemu. Demokracja wezwała na pomoc interwencjonizm państwowy. W ten sposób demokracja zjadła liberalizm. Ale idąc dalej w tym kierunku interwencjonizm coraz szybciej przekształcał się w etatyzm. W imię demokracji i równości Państwo ingerowało coraz dalej. I dziś stajemy wobec faktu, że etatystycznie zorganizowane państwo niszczy demokrację; bowiem demokracja okazuje się we współczesnem państwie etatystycznem zbyt kruchą formą organizacji społecznej. Ostatnie ogniwo tego związku przyczynowego to bolszewizm, czyli etatyzm stuprocentowy. Tu już jest dno. Ten rozwój wydarzeń jest czemś logicznie koniecznem. Ostatecznym rezultatem rewolucji francuskiej jest państwo kompletnie etatystyczne, społeczeństwo zorganizowane na zasadzie niewolnictwa państwowego, społeczeństwo, którego symbolem i streszczeniem będzie mrowisko. Ten ostateczny wniosek wyciągnięty z założeń rewolucji francuskiej okazuje się zarazem bankructwem tych założeń. Wnioski te przeraziły Europę. Dlatego w wielu państwach widzimy gwałtowne odruchy, będące reakcją przeciw komunizmowi. Europa broni się przed widmem niewolnictwa państwowego.

Konsekwentny rozwój wypadków od chwili rewolucji francuskiej pchał ku bolszewizmowi. Dziś narody usiłują z tej drogi zawrócić — zaczyna się kontrrewolucja w całem tego słowa znaczeniu.

Gousague de Reynold analizuje głębsze przyczyny tej katastrofy. Hasło wolności rzucone przez rewolucję francuską musiało się zdegenerować. Zasada wolności pozbawiona była głębszych podstaw. Rewolucja afirmowała indywidualizm w polityce i ekonomji, ale materjalistyczny indywidualizm jest koncepcją wewnętrznie sprzeczną. Nie można pogodzić indywidualizmu z materjalizmem Jeżeli bowiem negujemy pierwiastek nieśmiertelny i niematerjalny w człowieku, walor jednostki ludzkiej ogromnie się obniża. Jednostka śmiertelna staje się efemerydą, pyłkiem, który dziś jest, a jutro go niema. Jedyny fakt trwały to zbiorowość, społeczność. Społeczność wieczna, pojmowana jako naród lub klasa, która zawsze trwać będzie. Jednostka nie może się ostać wobec zbiorowości. Przy założeniach materjalistycznych zbiorowość pochłania i niweluje jednostkę. Indywiduum nie ma żadnej podstawy, żadnego punktu zaczepienia dla żądania poszanowania swych praw.

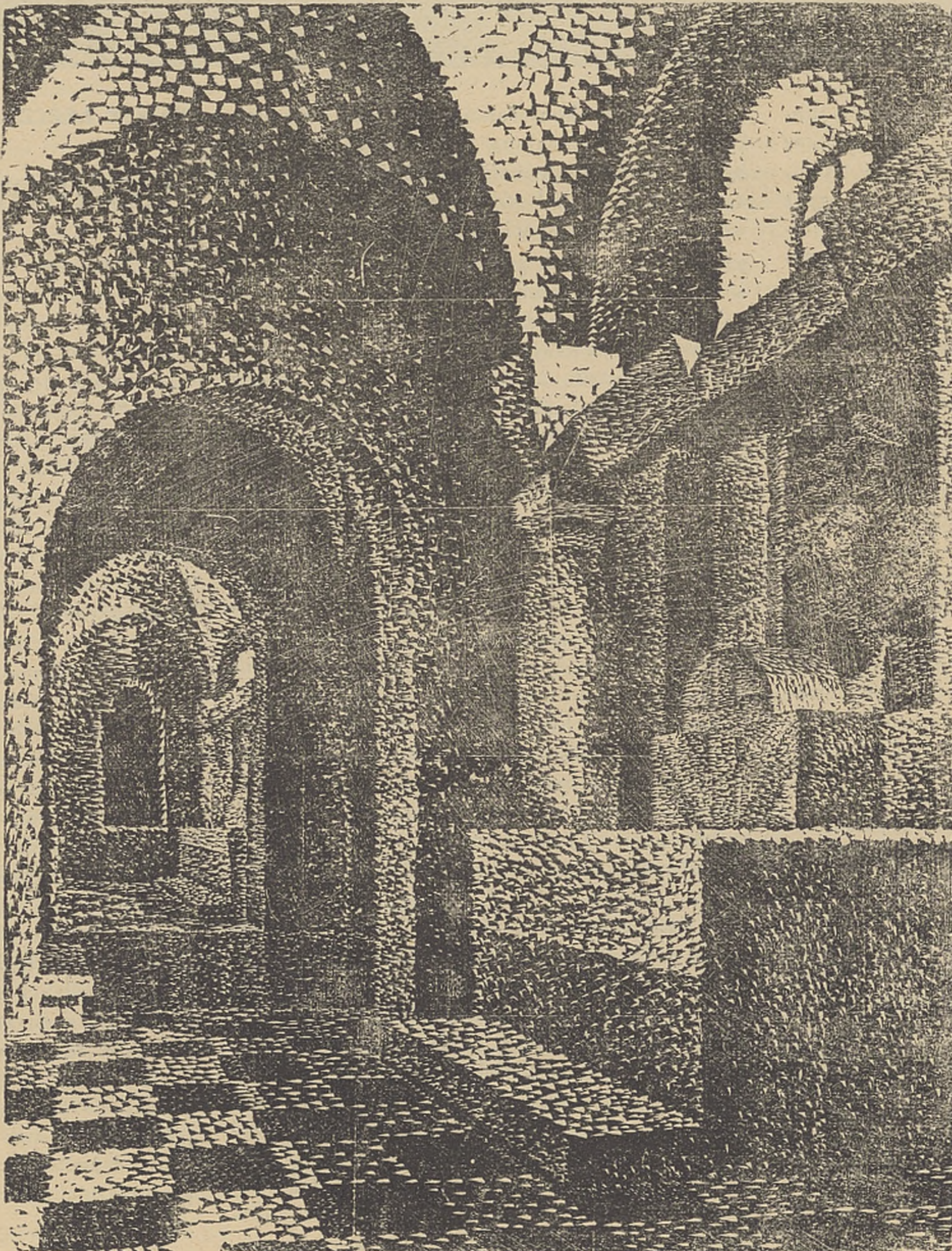
Teocentryczny ustrój średniowiecza gwarantował prawa jednostki. Uznając pierwiastek nieśmiertelny boski w każdym człowieku, nadawał każdemu indywiduum ludzkiemu wartość nieskończoną. Rozwój ducha każdej poszczególnej jednostki jest sprawą najpierwszej wagi. Organizacja społeczna musi to zagwarantować. Jednocześnie założenia teocentryczne wykluczały indywidualistyczny anarchizm. Przy założeniach, że Bóg jest początkiem i celem wszystkiego, harmonja współżycia ludzkiego była dostatecznie zagwarantowana. Jednostki wiązał obowiązek podporządkowania się nakazem objektywnego prawa, prawa przyrodzonego. Nie było tu miejsca na egoistyczny anarchizm indywidualny. W ten sposób teocentryzm średniowiecza zapewniał harmonję współżycia zbiorowego, afirmując zarazem nienaruszalne prawa jednostki.

Materjalistyczny antropocentryzm zniszczył tę harmonję i jednocześnie usunął jednostce podstawę z pod nóg. Dlatego musiał się rozpocząć zjazd po równi pochyłej do bolszewizmu. Tak zwana rewolucja narodowa w różnych państwach usiłuje zatrzymać narody na równi pochyłej. To co jest wspólne wszystkim przejawom kontrrewolucji narodowej, to jej antybolszewicki charakter. Doszukując się przyczyn antykomunistycznego nastawienia, Gousague de Reynold dochodzi do wniosku, że tutaj chodzi o zachowanie pojęcia osobowości ludzkiej. Zdaniem autora tylko chrześcijaństwo łacińskie wytworzyło pojęcie osobowości ludzkiej w całem tego słowa znaczeniu. Istota właściwa pojęcia osobowości w rozumieniu chrześcijańskiem tkwi immanentnie w kulturze wszystkich narodów zachodnio - europejskich. Ruchy antybolszewickie, to walka w obronie zagrożonej osobowości ludzkiej. Walka odruchowa prowadzona bez planu.

Tyle Gousague de Reynold.

* * *

De Reynold poruszył zagadnienia bardzo szerokie. Jakie czynniki wpłynęły na ukształtowanie się czynnika osobowości, tkwiącego w istocie kultury zachodniej, to sprawa zawiła. Może autor za mało ceni rolę czynnika helleńskiego i rzymskiego. Żaden laik nie może się kusić na rozpętanie tych zagadnień. Najważniejsze jest podkreślenie autora jak bardzo głębokie podłoże ma kryzys indywidualizmu i demokracji i jak daleko sięgają jego przyczyny. Autor plastycznie zarysował istoty tego kryzysu. Materjalizm przekreśla jednostkę, bo pozbawia ją sensu osobowości. Mówiąc o resztkach demokracji we współczesnym świecie De Reynold używa



ADOLF POPŁAWSKI — DRZEWORYT

ADOLF POPŁAWSKI

DRZEWORYT



Dokończenie ze str. 5-ej — zob. uwagę na dole strony.

Ostatnie miesiące były podzwonnem junkierskich Niemiec. 30-go lipca saski minister spraw wewnętrznych rozwiązał słynny Stahlhelm — audjencja udzielona 12 sierpnia przez Hitlera jego kierownikowi min. Seldtemu dotyczyła sposobów jego likwidacji—a 17 sierpnia zamknięto staro-pruskie loże masońskie, wyrazicielki Prus Bismarka. Wreszcie w sprawie „wielkiej niewiadomej" nowych Niemiec—armji—artykuł jednego z jej dostojników — gen. von Reichenan zasługuje na specjalną uwagę. Mówi on:

„...gdyby gdziekolwiek zachowały się niewspółczesne resztki, to ulegną one duchowi teraźniejszości, jedynemu który ma prawo do obecności w jej szeregach"...

Wprawdzie von Reichenan poszedł „na grzybki", mianowano go dowódcą dywizji na prowincji, ale w niczem nie zmienia to doniosłości wypowiedzianego przezeń zdania. Czynniki wierne „starym czasom" są niewątpliwie bardzo liczne w armji, ale partja narodowo-socjalistyczna opanowuje od wewnątrz swego jedynego groźnego, w znaczeniu materjalnem, konkurenta.

* * *

Pozostaje Kościół. Kampanja anty-kościelna, prowadzona zupełnie urzędowo (Mowy Goebbelsa i Fricka, atakujące Stolicę Apostolską w związku z potępieniem ustawy sterylizacyjnej) niesłychanie się wzmogły. Wyraziło się to przedewszystkiem w bezwzględnych wyrokach, w procesach dewizowych, *) niszczeniu organizacyj katolickich i obozach koncentracyjnych dla tych, co bronią gwarantowanych konkordatem praw wolności sumienia. Nazywa się ich „politycznymi katolikami".

*) Polegają one na tem, iż w związku z zakazem wywozu pieniędzy z Rzeszy skazuje się na wieloletnie więzienia zakonników i księży, usiłujących dostarczyć środków pieniężnych prowadzonym przez siebie zakładom religijnym i dobroczynnym zagranicą.

Doroczna konferencja biskupów niemieckich w Fuldzie zwołana 19.VIII b. r. przez kardynała Bertrama księcia — biskupa Wrocławia, wykazała, iż duch Kościoła nie zmienia się pod wpływem okoliczności zewnętrznych. W liście pasterskim biskupi przypomnieli katolikom, że w wypadkach sprzeczności ustaw państwowych z prawem przyrodzonem i boskiem trzeba słuchać przedewszystkiem Boga, nie zaś ludzi. Dalej stwierdzili, że nie można być katolikiem w domu, a poganinem na ulicy. A limine odrzucono możliwość uniezależnienia katolicyzmu niemieckiego od Stolicy Apostolskiej; wreszcie w zakończeniu, biskupi podnieśli, że napełnia ich troską los Niemiec, nie zaś los Kościoła w Niemczech, który pokonał stare pogaństwo i nie ulegnie nowemu. Oprócz listu pasterskiego, odczytanego we wszystkich Kościołach Rzeszy—zebrani biskupi wystosowali na ręce Kanclerza Rzeszy memorjał w sprawie ucisku sumienia chrześcijan. Zjazd w Fuldzie, wedle opinji hitlerowców, miał być wstępem do ułożenia modus vivendi. Okazało się, że Kościół nic się nie zmienił od tych czasów, kiedy wolał nieudzielić bezprawnie jednego unieważnienia małżeństwa, aniżeli zachować „Defensora Fidei" i jego królestwo. Mam tu na myśli Henryka VIII.

* * *

Dyktatury nie lubią historji. Dzieje Rosji w ujęciu Z.S.R.R. zaczynają się od zamachu na Aleksandra II-go, dekabryści to już prehistorja. Italja w mussolińskim sosie rodzi się pod Vittorio Veneto z dwuznaczną parantelą z Imperjum Rzymskiem, a najpiękniejszy okres Niemiec zaczyna się w knajpach powojennego Monachjum.

Dobrze byłoby jednak, żeby Kanclerz Rzeszy, Adolf Hitler, przypomniał, że i przed nim był nawet potężniejszy od niego władca Niemiec — Cesarz Henryk IV. On też przebudowywał państwo od wewnątrz i niszczył „polityczny katolicyzm". Skończyło się na Canossie.

PAWEŁ ŁEBCZ

KONKRET ANGIELSKI

Pisaliśmy nidawno o abstrakcyjnem bujaniu w sprawach gospodarczych i o konieczności konkretnej pracy i eksperymentowania; wskazywaliśmy też na Anglików, jako na tych, co nie zadawalają się ogólnikami, lecz dążą do konkretu *). Ostatnio ciekawe przykłady, ilustrujące nasze tezy, przynosi listopadowy PRZEGLĄD POWSZECHNY. Istnieje wśród katolików angielskich (m. in. grupa Chestertona zgrupowana dokoła pisma G'. K'S WEEKlY) szukająca rozwiązania dzisiejszych trudności ustrojowych w upowszechnieniu własności prywatnej, drogą jej rozdrobnienia. Otóż Anglikowi nie wystarcza wykreśleniu tylko kierunku programowego pragnie on realizować go możliwie natychmiast. I oto szereg **niezależnych od siebie** organizacyj katolickich zakłada małe fermy rolnicze które mają same siebie przeżywić (rzecz w Anglji dziś już nieistniejąca), szkolą ludność miejską do pracy na roli, pomagają im się osiedlić i zagospodarzyć. Dziś władze zaczynają już się tem interesować kto wie, czy ta inicjatywa nie stanie się wkrótce bodźcem do wielkich przemian społecznych w Anglji.

Oto jest jeszcze jeden przykład „konkretności" myślenia angielskiego; z Ameryki wydobylibyśmy znacznie więcej przykładów. Musimy wreszcie zdać sobie sprawę, że póki nie zaczniemy choć w drobnej cząstce próbować realizacji naszych idei i pomysłów, póty będziemy jałowo przelewali słowa i będziemy równie daleko od życia, jak przedtem. Idealizacja rzeczywistości nie znaczy jeszcze jej naprawy.

*) Konkret i woda — PAX nr. 14.

SPROSTOWANIE: Przez omyłkę strony niniejsze zostały przesta

(Dokończenie ze str. 3-ej)

porównanie — róże jesienne. Piękne, pachnące kwiaty, ale nieuchronnie skazane na zagładę. Namby lepiej odpowiadało porównanie — ścięte róże. Kwiaty prześlicznie rozkwitnięte, zachwycające barwą i zapachem, ale już więdnące i nieuchronnie skazane na zeschnięcie, jako ścięte i pozbawione dopływu soków. Czynniki, które spowodowały wytworzenie się pojęcia osobowości (personalite), działały ongiś, działały w chrześcijańskiej epoce średniowiecza i może dawniej. Dzisiaj dopływ soków ustał. To jest właśnie istota kryzysu demokracji i wolności. I dlatego pozycja bolszewizmu jest tak bardzo silna. Dlatego prawdopodobieństwo zatrzymania społeczeństw na równi pochyłej jest takie małe. Materjalizm ciągnie do dna, którem jest bolszewizm państwo termitów. Uwypuklenie tych momentów jest zasługą De Reynolda. Mało kto obraz katastrofy przez nas przeżywanej zarysował tak wyraźnie.

Książka „L'Europe Tragique" budzi skomplikowane reminiscencje. Że grawitowanie do bolszewizmu ma bardzo silne przyczyny, to wiadomo. Wiadomo też, że to, co się przeciwstawia bolszewizmowi, jest światem gasnącym, to ścięte róże. Przeciwstawienie to bowiem nie ma żadnych głębszych podstaw, słusznie można twierdzić, że przeciwstawienie jest dyktowane tylko interesem klas posiadających. Ale książka ta budzi również spostrzeżenie o pozytywnej treści. W kulturze europejskiej tkwią pierwiastki zasadniczo przeciwne bolszewizmowi, są to przedewszystkiem pierwiastki chrześcijańskie, a w pierwszym rzędzie chrześcijańskie założenie o wartości i celach jednostki. Gousague de Reynold woła o wszechświatowy front wszystkich katolików. Więcej! Chce ten front rozszerzyć i na protestantów. Hasło jego: Chrześcijanie wszystkich krajów łączcie się.

W dzisiejszej rzeczywistości brzmi to zupełnie fantastycznie. Jakaś bajka o żelaznym wilku. Ale czy mimo to pierwiastki chrześcijańskie nie mogą być źródłem nowych możliwości i prawdziwego renesansu kultury zachodnio-europejskiej?

Nasuwa się pytanie.

Na jakich fundamentach, na jakiej zasadzie oprzeć się mają prawa jednostki, w imię czego jednostka ma się ostać przed pożarciem przez molocha — Państwo.

Niewątpliwie pierwiastki chrześcijańskie i katolickie naszej kultury mogą taką bazę stanowić. Możliwości są duże. Jeśli się wezmie pod uwagę jak bardzo chrześcijaństwo wrosło się w kulturę polską i gdy się uprzytomni, że katolicyzm jest czynnikiem, który łączy i spaja nasz naród, nadając mu jedność, a nawet więcej, jest arką przymierza pomiędzy narodem polskim i innemi narodami, tworzącemi nasze państwo, widać, że możliwości nawiązane w budowie społecznej i politycznej Polski do tych czynników są bardzo poważne. Dążenia do realizacji tych wielkich spraw nie powinny być wiązane z żadnym katolickim ruchem społecznym. Byłyby to ramy zbyt ciasne i jak już wykazało doświadczenie, zbyt kruche.

Instniejąca od lat 15-tu w Warszawie, ul. Bracka Nr. 5 ajencja „Informacja Prasowa Polska" rozwija bardzo pożyteczną działalność udzielania specjalnych wiadomości z prasy polskiej i zagranicznej, z gazet—w wycinkach.

SIDŻI

SRRAWY ZAGRANICZNE

SPAJANIE TRZECIEJ RZESZY

Mimo wszystko, dzisiejsze dyktatury skorzystały wiele z nauki historji. Przekonały się, że samą tylko siłą fizyczną i subtelnościami policji politycznej nie utrzymali się nawet Napoleon i Książę Metternich. Zaczęto więc przetwarzać (a przynajmniej rozwinięto w tym kierunku gorączkową działalność), dusze swoich podwładnych neo-niewolników. Tworzy się ad usum servorum państwową mistykę i zaktualizowano—hierarchiczną budowę społeczną. Widzimy to i w Z. S. R. R. i w Italji i w III ej Rzeszy. Oczywiście wszędzie na inny sposób, lecz te wszystkie dyktatorskie ekipy zapominają, że był również i taki dyktator, co tworzył nową szlachtę i regenerował starą religię, co wprowadzał niewidziane dotąd instytucje współrządców, a największe w historji państwo w Europie zamknął w ramki koszarowo-szpicowskiego systemu. Nazywał się Djoklecjan, żył na przełomie III i IV wieku po Chrystusie i był absolutnym władcą Imperium Romanum.

Przebudowa państwa zakończyła się dość smutno. Djoklecjan na parę lat przed śmiercią wpadł w mizantropję, zrzekł się tronu i zamknął się w nadmorskim pałacu; właściwie można powiedzieć, że jeszcze bardzo tanio wymigał się z przykrej sytuacji autokraty, a jego wspaniałą budowę państwa wzięli djabli przenośnie wprawdzie, ale bardzo dokładnie — w niecałe sto lat po jego zgonie.

* * *

Zadania III-ej Rzeszy w najogólniejszych zarysach można podzielić na trzy główne kompleksy: 1) przywrócenie narodowej suwerenności, 2) jednolitość narodu niemieckiego 3), zlikwidowanie bezrobocia.

Punkt pierwszy programu w znacznej mierze został spełniony. Przyłączenie Saary, zerwanie Traktatu Wersalskiego odnośnie zbrojeń, umowa morska anglo-niemiecka, wreszcie pakt o nieagresji z Polską — są to wszystko pozytywne rezultaty osiągnięte w rekordowo krótkim czasie — w przeciągu jednego roku.

Przystąpiono do kolejnego etapu programu narodowo-socjalistycznego. Punkt drugi, wewnętrzne ujednolicenie narodu niemieckiego okazał się jednak sprawą o wiele bardziej skomplikowaną od zamienienia jednego nieobowiązującego papierku innym nieobowiązującym papierkiem. Oczywiście mowa tu o obowiązku moralnym, w dodatku w dystansach historycznych.

W stosunku do „wewnętrznych wrogów" Kanclerz Rzeszy emanuje zwycięskim i mściwym optymizmem. W przemówieniu w Rosenheim wygłoszonem 11 sierpnia powiedział tak:

> „Ci, co stoją przeciwko nam niech się nie łudzą, nie lękaliśmy się nigdy walki, ani dawniej, ani dzisiaj. Jeśli jej chcą, mogą ją mieć. Tak ich zmiażdżymy, że na najbliższe 14 lat zapomną o dalszem prowadzeniu tej walki".

Poprzednio jeszcze tenże sam Kanclerz Rzeszy powiedział, że rewolucja narodowo-socjalistyczna jest obliczona na sto lat. Termin więc zlikwidowania „wnutriennich wragow otiecziestwa" jest istotnie dość krótki.

* * *

Rosenheimska mowa jest równocześnie oficjalną aprobatą decydującego czynnika dla wszelkich wystąpień przeciwko katolikom, konserwatystom, masonerji i żydom, które dotąd można było interpretować jako tolerowaną samowolę subalternów.

Pogromy Żydów i komunistów z pierwszych miodowych miesięcy narodowo-socjalistycznego przewrotu były zbyt szybkie i zbyt łatwo dawały się tłumaczyć, żeby mogły być objawem głębokich zmian. Komuniści byli i są nowotworem na ciele wielkiego narodu zachodnio-europejskiej kultury i dlatego po usunięciu warunków, sprzyjających jego rozwojowi — wypalenie głównych ognisk komunistycznego spisku nie nastręczało większych trudności, a Żydzi jeszcze raz w swojej wielotysięcznej historji odegrali rolę kozła ofiarnego w politycznym przewrocie.

Dziś już zarysowują się zmiany. Wprawdzie dotąd bojkot ekonomiczny w obrębie Niemiec dotyka Żydów bardzo boleśnie, ale są wyraźne oznaki odprężenia sytuacji.

W początkach sierpnia, na Zjeździe partyjnym w Essen, ministrowie Rzeszy Frick i Goebbels podkreślili fakt wzmożonej reemigracji Żydów do Niemiec, w Berlinie zaś tenże Frick antyżydowskie awantury określił jako zrozumiałe wprawdzie, ale nieporządane ekscesy, wreszcie minister gospodarki Schacht w mowie wygłoszonej z okazji otwarcia Targów Wschodnich w Królewcu potępił tego rodzaju „działanie na własną rękę", stanowiące „ciężkie niepokojenie życia gospodarczego".

Sytuacja prawna Żydów została ustalona— możnaby było ją określić jako neo-ghetto. Ich działalność kulturalną i artystyczną ujęto w ramy dostępne tylko dla Żydów, niearyjczyków i mieszańców „Zjednoczenia żydowskich związków kulturalnych na terenie Rzeszy" a ich wpływy polityczne ostatecznie zlikwidowano na czas nieokreślony.

W kwestji gospodarczej i finansowej miarodajnem może być zdanie Goebbelsa, iż Żydzi muszą podporządkować się prawom narodu — gospodarza.

Wprawdzie procesy o „pohańbienie rasy" mnożą się i jest bardzo prawdopodobny całkowity zakaz małżeństw mieszanych, ale ostra faza Juden-hecy ma się ku końcowi. Jakub Süss Oppenheimer tylnem wejściem wraca do swego mieszkania.

* * *

Wobec wyeliminowania Żydowstwa w swego rodzaju gnetto i odcięcie od losów narodu niemieckiego, rosenheimskie groźby mogą odnosić się tylko do prawicy katolicyzmu i komunistów.

Prawicowy koń trojański, w którym Hitler dostał się do twierdzy (władzy), natychmiast po jej zagarnięciu stał się krępującym balastem, wobec miljonowej rzeszy radykalnych szturmowców towarzyszem broni dość żenującym. Bez skrupułów też odbyła się jego likwidacja. Odżegnano się cynicznie od Hohenzollernów, illo tempore dekorujących meetingi hitlerowców w berlińskim Sportpalaście, utrącano starych, zasłużonych generałów prawicowych jak np. von Linsingen'a. Ośmieszono i zlikwidowano Hugenberga, rozpędzono korporacje, ze starożytną Heidelberską Saxo-Borussją na czele, rozwiązano prawicowe związki bojowe.

(Dokończenie na str. 4-ej)

vione: strona 4-ta winna zajmować miejsce strony 5-ej i odwrotnie.

JERZY CIECHOCKI

WYZNANIA „KONTREWOLUCJONISTY"

Józef Łobodowski, utalentowany polski poeta, autor kilku tomów wierszy oryginalnych i doskonałych przekładów z języka rosyjskiego, redaktor „Dźwigarów" i prawowierny marksista, w „Wiadomościach Literackich" z dnia 27 października b. r. ogłosił dialog p. t. „Smutne porachunki". Ten dialog został wywołany recenzją Stefana Napierskiego w IKC, jest jednak, jak informują słowa wstępu—„nietyle obroną zaatakowanego autora, ile... próbą przedstawienia jego ewolucji ideowej i obecnego stanowiska".

Józef Łobowski występujący jako „autor" w dialogu daje wyraz swemu głębokiemu rozczarowaniu do drogi, którą dotychczas kroczył. Ogarnia go zwątpienie, gorycz. „Nie widzę nigdzie sztandaru — woła — pod którymby można złożyć głowę, nie słyszę słów komendy. Słyszę wrzask targowiska, gdzie kupa spryciarzy licytuje się w miłości do proletarjatu. Niema w Polsce szeregu, do którego mógłbym doszlusować A tak łatwo włożyć efektowną liberję i przypiąć piękną kokardę. Ale nie nazywajcie tego „heroizmem"... „wyszliśmy szukać sprawiedliwości i prawdy, bo ich w starym świecie nie było. Na punktach werbunkowych nie dano nam prawdy, Chciano nas przemalować, wystroić w inne mundury... Nie poto walczy się z fałszem burżuazyjnym, aby później zgiąć kolano przed fałszem proletarjackim. Chcę być wolnym człowiekiem na wolnej ziemi..." Co wywołuje tak smutne, beznadziejne stanowisko autora? To stała kontrola, to rozdawanie patentów na „prawomyślność rewolucyjną" przez tych „co udają, że z jednej bryły wykuci",... „talmudystów uczonych w piśmie, kłopoczących się o to przedewszystkiem, czy ten i ów nie wpadł w herezję, w „zbrodnicze odchylenie polityczne."

Przeciwstawia się Łabodowski „terrorowi moralnemu", który wszelką próbę ideowej opozycji traktuje jako „kontrewolucję". „Nie jestem dezerterem — oświadcza — zrzuciłem mundur, w którym mi jest ciasno. To nie jest przejście do „obozu faszyzmu". „Podzieliliście świat na dwa obozy — woła poeta—i nie dopuszczacie myśli, że coś „jeszcze istnieje poza ich granicami"... „Wierzę, że wichry dziejowe zmiotą naszą nędzę i tchórzostwo, że nareszcie zasłużymy na miano wolnych ludzi. Potoczy się światem lawina obrazoburstwa. Rozbijemy posągi bożków wszystkich dogmatów i wyznań. To będzie rewolucja godna ofiary naszych ramion i serc".

* * *

Oczywiście, nie można interpretować słów p. Łobodowskiego, jako jakiegokolwiek „nawrócenia się". Jest to tylko wyłamanie się z pod reżimu ideowego, który mocniej krępuje wolną drogę myśli ludzkiej, niż nas nasze dogmaty. W dodatku — i to jest najważniejsze—my opieramy się na odrobinę większym autorytecie, niż autorytet Marxa czy Lenina.

W tej atmosferze marksowsko — leninowsko — stalinowskiego dogmatu dziwi, że ludzie częstokroć zdolni mogą dłużej wytrzymać. I na jakiż poziom schodzą ci wielcy kapłani Z.S.S.R. Otrzymaliśmy deklarację „Lewego frontu" literackiego z prośbą o uwagi. Oto jej brzmienie:

Groźny dla kultury i postępu nawrót do barbarzyństwa, coraz jawniej i konsekwentniej realizowany przez siły reakcji, zmusza każdego niezależnego pisarza i artystę do zajęcia wyraźnej i zdecydowanej postawy wobec dzisiejszej rzeczywistości.

Stary porządek nie cofa się przed żadnym aktem przemocy, aby tylko utrzymać swe zagrożone panowanie, oparte na wyzysku mas pracujących. Spychając te masy na głodowy poziom bytowania, wydzierając im resztki wywalczonych ongiś praw politycznych — jednocześnie atakuje faszyzm wszelką niezależną działalność kulturalną, niezależną twórczość literacką i artystyczną. Prześladuje niezależnych pisarzy, skazując ich na niedostatek i milczenie. Zapomocą korupcji i nacisku deprawuje i wypacza charaktery, by poddać literaturę swym celom. Sfaszyzowana literatura na usługach reakcji, literatura faszyzmu—to literatura upadku.

W chwili obecnej staje się rzeczą coraz bardziej oczywistą, że tylko socjalizm prowadzi dzieło postępu kulturalnego, zaniechane i niweczone przez ginący kapitalizm. Dla pisarza pragnącego służyć sprawie postępu i kultury, nie pora dziś na wygodne „umywanie rąk"—na izolowanie się od zmagań świata pracy. Dziś kiedy reakcja zmusza pisarza do coraz bardziej zdecydowanej służby, nie wolno łudzić się, że w walce dwu światów można zajmować stanowisko neutralne. Rzekoma „społeczność" literatury ułatwia tylko faszyzmowi opanowanie życia artystycznego i kulturalnego przy pomocy powoływanych ad hoc instytucyj—ułatwia faszyzację kultury.

Gdy w masach ludowych, robotniczych i chłopskich, rośnie dążność do połączenia sił w walce z faszyzmem—stajemy z niemi w jednym szeregu. Niezależnie od różnic, dzielących nas w dziedzinie politycznej, filozoficznej, artystycznej, niezależnie od języka, w którym tworzymy—występujemy łącznie w celu współdziałania z jednolitofrontowym ruchem mas. Przeciwstawiamy się odbieraniu masom ludowym praw politycznych. Walczymy z uciskiem narodowościowym. Przeciwstawiamy się wszelkim próbom wzniecenia pożaru wojennego. Solidaryzujemy się z uchwałami paryskiego Kongresu Pisarzy dla obrony Kultury. Walczymy przeciw reakcji kulturalnej, przeciw likwidacji oświaty, przeciw zamykaniu masom pracującym dostępu do nauki. Walczymy o wolność słowa, o niezależność pisarza i jego pracy. Wzywamy wszystkich niezależnych pisarzy i artystów do zsolidaryzowania się z nami w obronie postępu, pokoju i kultury.

(*Dalej następują podpisy*).

Otóż to jest próbka tych dogmatycznych sformułowań (mówię wyraźnie: sformułowań, bo od tych formuł odejść nie można), które mogą być platformą ideową. Nie chodzi mi o końcowe ogólniki: nie oni jedni walczą o dolę szerokich mas, nie oni jedni występują przeciw wojnom. Oni jednak występują przeciw uciskowi, by wprowadzić taką wolność, jaką istnieje w bolszewji. Jeżeli wierzą, w co mówią, a myślę, że wierzą, nie rozumiem, gdzie się podziały ich oczy i sumienia. Ale mniejsza z tem. Spójrzmy na sam sposób formułowania. Ta „faszyzacja", ten socjalizm, który **jedyny** prowadzi dzieło postępu kulturalnego, ta cała frazeologja z czerwonego Kremla — doprawdy, cóż to jest? A słowa te trzeba skandować w postawie na baczność, z oczyma miłośnie zwróconemi na Wschód. Inaczej, jak pisał Gałczyński:

Za parę lat i tak pod stienku
i trach — tarach! mon cher —

EX LIBRIS

Kraina liturgji

Ukazała się książka **Sentire cum Eclesia**. S. Marji Renaty ze zgromadzenia S. S. Niepokalanek (r. 1934) poprzedzona przedmową ś. p. arcyb. Mańkowskiego, jednego z pierwszych pionerów ruchu liturgicznego w Polsce. Książka dobra, książka nietuzinkowa, którą chętnie i ze spokojem włożyłoby się w ręce każdego inteligenta.

Poświęca ją autorka sprawie liturgji i ruchu liturgicznego, uzasadniając ich ogromne znaczenie. Bo liturgja nie jest tylko nauką o rubrykach i ceremonjach Kościelnych. Jest aktem publicznym, oficjalną modlitwą Kościoła, jest Bożem działaniem w duszy przez Kościół, „Rozbrzmiewa—jak mówi Kard. La Fontaine.— Chrystusem. Słowem żywota, wyraża Chrystusa, tchnie Nim, a rozwijając doroczny cykl Jego tajemnic pozwala nam słyszeć Go, widzieć i jakby dotykać rękoma naszemi (I Jan I 1.)". I dlatego życie liturgiczne to życie, myślenie i odczuwanie kategorjami Kościoła — właśnie sentire cum Eclesia — który zamknął w swych księgach liturgicznych „najpiękniejsze swe modły, najwznioślejsze hymny, cały dogmat i całą etykę: lex orandi — lex credendi" a dodałby można „lex credendi—lex vivendi".

Kiążka ożywia gorące pragnienie, aby w myśl słów Piusa X (Motu Proprio) nauczyć wiernych „modlić się na pięknie".

W tym celu autorka wprowadza nas. w świat Mszału i Brewjarza. Analizuje poszczególne części Mszy Św. omawia treść i formę psalmów, treść, strofikę, melodję hymnów brewjarzowych, responsorja Matutini i antyfony Marjańskie. Uwzględnia historję Mszału i Brewjarza, mówi o ich rozbudowie, narastaniu poszczególnych części, nie pomija też legendy która łączy się z powstaniem utworów, mających ludzkie pochodzenie. Chcąc nas przybliżyć do liturgji poświęca S. Reneta kilka rozdziałów liturgji dni najuroczystszych w Kościele (Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Z. Świątek, Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia), mówi nam wreszcie o liturgji żałobnej — owiewa nas atmosfera czci i zachwytu dla piękna, które zamyka się w liturgji, otwiera się jakiś nowy świat.

„Kraina liturgji to kraina cudów — to ogród zamkniony" „zdrój zapieczętowany" dla wielu—takby się chciało wrota tego raju otworzyć, strumienie tej wody żywej udostępnić wszystkim spragnionym".

Halina Wężyk-Widawska.

Książki nadesłane do Redakcji.

Św. Alfons Maria Liguori — *O miłowaniu Pana Jezusa w życiu codziennem*. Przetłumaczył z włoskiego X. Adolf Żółtowski—wyd. III. Księgarnia św Wojciecha.—**O. Jacek Woroniecki**—*Pełnia modlitwy*. Studjum teologiczne dla inteligencji. Wyd. II. Poznań Księgarnia św. Wojciecha. **Ks. dr. Franciszek Sawicki**—*Dusza nowoczesnego człowieka* — Tło moralne i religijne Akcji Katolickiej. Wyd. II. Poznań 1935. Księgarnia św. Wojciecha. **Ks. dr. Andrzej Krzesiński** — *Współczesna Niewiara*. Poznań 1935. Księgarnia św. Wojciecha.

Świadoma regulacja urodzin.

Znano dotąd trzy sposoby unikania potomstwa: 1) trwałą wstrzemięźliwość w małżeństwie, 2) sztuczne przeciwdziałanie zapłodnieniu i 3) spędzanie płodu. Pierwszy z nich w praktyce nie mógł mieć z natury rzeczy i nie miał szerszego zastosowania, a więc i znaczenia. Drugi, któremu patronowały t. zw. poradnie świadomego macierzyństwa, narażał swych zwolenników—stosowaczy na konflikt z katolickim punktem widzenia. Ostatni wreszcie został potępiony nietylko ze względów religijnych, lecz także prawnych, humanitarnych i zdrowotnych.

Jakież wyjście z sytuacji? Jak pogodzić społeczny problemat ograniczenia naturalnego przyrostu ludności z prawem natury i nauką Kościoła? ¿Oto pytanie, pozostające bez odpowiedzi. Encyklika papieska o małżeństwie chrześcijańskiem z dn. 31 grudnia 1930 r. nie rozwiązywała tych trudności. Z pomocą przyszła nauka.

W r. 1923 lekarz japoński Kyusaku Ogino opublikował wyniki swych badań, dotyczących owulacji i menstruacji, co pozwoliło mu ustalić teoretycznie ilość i jakość dni bezpłodnych u kobiety. W r. 1930 odkrycie d-ra Ogino znano już w Niemczech, gdzie dr. Knaus uzasadnił naukowo cykliczne procesy w organizmie kobiety i rozwiązał zagadnienie żywotności plemników męskich. Droga dla praktyki została wytyczona. Na podstawie teorji Ogino-Knausa lekarz holenderski Smulders skonstruował całkowitą metodę, umożliwiającą świadomą, ale naturalną regulację urodzin, przez wyzyskanie dającego się obliczyć z matematyczną niemal dokładnością terminu bezpłodności kobiety.

Nie tu miejsce rozwodzić się nad szczegółami tej metody. Społeczeństwo polskie zostało poinformowane o niej po raz pierwszy w r. 1932 broszurą, zaopatrzoną w imprimatur władzy duchownej [1]). Ostatnio Księg. Św. Wojciecha wydała przekład polski książki *J. E. Georga* p. t. **Eheleben und Kindersegen** [2]), składającej się z dwóch części: teoretycznej, rozpatrującej takie problemy, jak małżeństwo, regulacja urodzin, procesy naturalne w organizmie kobiety, wreszcie unikanie ciąży z moralnego i socjalnego punktu widzenia: i praktycznej — o stosowaniu regulacji urodzin wg. metody Smuldersa.

Nie zgodziłbym się jednak z fragmentem słowa wstępnego prof. Gantkowskiego, znanego autora medycyny pastoralnej. Książkę Georga przeznacza on dla następujących kategoryj czytelników: 1) lekarzy katolików i niekatolików, 2) kapłanów katolickich i 3) matek z pośród inteligentniejszych sfer katolickich. Jest w tem jakieś nieporozumienie: książkę bowiem musi poznać każdy inteligent-katolik, a wątpię również, czy będzie ją mógł przeoczyć prawnik.

W odniesieniu do poszczególnych sądów autora, możnaby mieć niejedno merytoryczne zastrzeżenie. Narazie jednak trzeba zrezygnować z wymienienia ich i uzasadnienia. Sygnalizacja bowiem ważnej (społecznie biorąc) publikacji nie jest równoznaczna z recenzją.

L. S.

[1]) Dr. A. Zajdlicz. Odkrycie dr. Ogino. Rozpoznanie zagadnienia regulacji urodzin ze stanowiska katolickiego. Poznań 1932, str. 31.

[2]) J. E. Georg. Z tajników pożycia małżeńskiego i jego sprzecznych powikłań. Autoryz. przekł. z niemieck., poprzedzony uwagami wstępnemi prof. dr. P. Gantkowskiego. Z 15 tablicami. Tłum. W. S. Poznań s. d., str. XXIII + 191.

KORESPONCJA

W sprawie artykułu Jana Frankowskiego.

Czarny Bór k. Wilna, d. 29 październ nika 1935 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Wielką przykrość sprawił mi artykuł p. Jana Frankowskiego „Przeciw neotomistycznym upojeniom" (Pax, paźdz. 1935 r.). Osoby Autora nie znam. W artykule brak dowodów zarówno w krytyce teoretycznej części tomizmu (ściślej: doktryny społecznej św. Tomasza), jak też w krytyce współczesnych polskich prac w tej dziedzinie. Stąd, zarzuty, postawione w formie bardzo niekulturalnej, są uchylone z pod dyskusji. A szkoda, gdyż nawet te ogólniki uprawniają do wniosku, że P. Autor artykułu nie zdaje sobie sprawy z wielu rzeczy, o których z taką pewnością pisze, do czego nie ma prawa moralnego, gdyż są to rzeczy ogromnej wagi i zbycie ich ogólnikowym urąganiem nie odpowiada zadaniu czasopisma (dla ogółu!) „o chrześcijańską kulturę jutra" walczącego.

„Pax" nieraz pyta ludzi: cui bono? Ja stawię to samo pytanie „Paxowi".

Łączę wyrazy należnego poważania
Ks. Mr. Józef Zawadzki.

W odpowiedzi na zapytanie „Cui bono", zaznaczamy, że drukowaliśmy wspomniany artykuł jedynie z tego względu, że podkreślił konieczność budowy nowego programu społecznego w oparciu o doktrynę św. Tomasza. Trochę zadużo jest u nas frazesów o chrześcijańskim planie przebudowy społecznej, który jakoby jest w całości wypracowany, i tylko przeciw tym frazesom chcieliśmy wystąpić. Oczywiście, że nie było to wystąpienie ani przeciw nauce św. Tomasza, ani przeciw nowszym opracowaniom z zakresu tomizmu. Jak nam się zdaje i autor nie miał tego na myśli. Bylibyśmy natomiast bardzo wdzięczni — jeśli nie za polemikę, to za pozytywny artykuł w tej materji.

Łącząc wyrazy poważania
Redakcja.

Wielka burza na małym odcinku.

Szanowny Panie Redaktorze!

Poczynając od nowego 1935/36 roku akademickiego wprowadzono na Uniwersytecie Wileńskim indeksy z polskim tekstem.

Trudno pojąć kto wpadł na podobny pomysł. Od wieków wiecznych, a w każdym razie od wskrzeszenia U. S. B., indeksy (pardon — „książeczki legitymacyjne") miały teksty łacińskie. Był więc index lectionum, nomen receptum, scholas frequentatas i t. d. W otoku zaś bladoróżowych akantów ornamentacyjnych na kartach indeksowych figurowały trzy litery U. B. V. — Universitas Batoreana Vilnensis. Słowa stare, ewokujące tyle, tyle cieni i niecieni historji, zamykające w łacińskich dźwiękach i echa uniwersalistycznych teoryj średniowiecza i króla Stefana, co po polsku nie umiał, a był jednym z największych Polaków i filomackie popijawki. Wreszcie może najważniejsze — słowa te wiązały w mistyczną jedność „dzisiejszych nieszczęśliwych kolegów" z wędrownymi wagabundami Villona, żakami wczesnych Jagiellonów i arystokratycznymi studentami oxfordskiego Ballisla czy Trinity—nie było granic czasu, przestrzeni i stosunków ludzkich. Czuliśmy się — choć nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, synami i braćmy w ramionach wielkiej, wszechogarniającej Alma Mater (znowuż przepraszam — po nowemu będzie to chyba brzmiało „Łagodnej Matki"?).

W imię prawdy należy stwierdzić, iż w większości wypadków pod „nomen" pisano imię a pod rubryką „pronomen" nazwisko, za co obrywało się publiciter od paru profesorów (celował w tem w roku akadem. 1930/31 prof. Ehrenkreutz), skąd — znów przeciętny akademik z autorem niniejszego włącznie byłby poważnie zaskoczony, gdyby go w tych zamierzchłych latach ktoś ex alimpto zapytał czy wielką wagę przypisuje do łacińskich tekstów swoich oficjalnych dokumentów. Ale dziś teksty te skasowano. Dziś można odczuć, że wyrwanie paznokcia na małym palcu chociaż nie grozi zdrowiu całego organizmu, ale w niczem nie umniejsza dojmującej przykrości samej operacji. I w imię czego skasowano te stare urocze cycerońskie napisy? Komu one przeszkadzały? W kim i w imię jakich egalitarnych przekonań budziły one niechęć i odrazę? — Czy też przypuszczano, że nowe generacje studentów, wychowanych na nowych programach szkolnej łaciny, nie zrozumieją całkowicie tekstu? Że nikogo nie będą mieli do wytłumaczenia im, co to jest „nomen" i dlaczego pod tą rubryką właśnie należy napisać Pietraszko czy Kolasiński.

I pomyśleć tylko, iż dzieje się to w czasach kiedy uniwersytety amerykańskie nagwałt dorabiają sobie tradycje gotyckich dormitaży i łacińskiego rytuału, a bolszewicy wprowadzają łacinę do programu szkolnego.

* * *

Odżegnywujemy się od starożytności. Znać jej nie chcemy. Bogiem naszym rewolucja francuska, a prorokiem jej praca, przez bardzo wielkie „P". Światowa sława, profesor Zieliński idzie do dymisji jako „improduktyw", a za dziesięć, co mówię, za trzy lata nie znajdzie się ani jednego maturzysty, co czytałby w oryginale „Obronę Sokratesa" i „Roczniki" Tacyta. Masy młodzieży, tumanionej pracą dla dobra społeczeństwa i produkcyjną wydajnością rezultatów wysiłku „ludzkiego", odejdą od „bezużytecznych" tekstów ludzi, którzy żyli i umierali przed początkiem ery chrześcijańskiej. Znów trzeba będzie czekać kilkaset lat na nowy renesans.

* * *

Dziwna rzecz. Mimo najszczerszych chęci nie możemy wydostać się z obrębu wpływów klasycznej kultury. Nawet kiedy dobrowolnie wyrzekamy się jej — też ją naśladujemy — coprawda od najmniej sympatycznej strony, od strony... Lacedemonu. (Tam też były ograniczenia dewizowe).

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku
Florjan Obuchowski.

Wilno, 20.X.1935 r.

P. T. W. Lida. — Artykuł Pana zachowaliśmy. Wolelibyśmy jednak artykuły mniej ogólnej, chcemy omawić przedewszystkiem zagadnienia konkretne.

ANTONI GOŁUBIEW

11)

Mędrcy na arenie

Czerwone domki w blasku słońca

Był świt. Powo!i niebo zmieniało róż na złoto i wnet pierwsze promienie wytrysły z za horyzontu. Mędrzec zaczął schodzić nieco wdół, widział przed sobą przedmieście z małemi domkami, krytemi czerwoną dachówką. Uliczki były tam kręte, kiepsko brukowane. Z obu s'ron jezdni ciągnęły się szeregi drzew, przed domkami były ogródki z kwiatami, szyby domków lśniły przelewającem się złotem.

Pan Kłapouch szedł zamyślony, gdy doleciał go nagły okrzyk:

— Patrzcieno tylko! I cóż to za maskarada?

Od jednego z domków śpieszył doń człowiek o dobrodusznej, mocno czerwonej gębie, z fajką w ręku. Stanął przed Kłapouchem i znowu zakrzyknął głosem pełnym zdumienia:

— Za kogóż się ta małpa przebrała? Co?

Pan Kłapouch spojrzał z godnością i cofnął się o krok.

— No, no, dość się dziwaczyć — mówił człowiek z czerwoną gębą — nie czas na udawanie. Skąd zemknąłeś? Służyłeś u kogoś za lokaja, czy jak? Narazie zatrzymam cię u siebie, może coś za to kapnie mi kiedyś do rączki. Tymczasem zdziewaj swoje łachy. Tylko szybko!

Pan Kłapouch patrzył nań ze zdumieniem, wyraźnie malującem się w pięknych orzechowych oczach.

— No, cóż gały wytrzeszczasz? Dawaj najpierw tę nogę, potem tę. Dobrze, a teraz portki. Patrzcie państwo, czyż nie rozpusta: jedwabną bieliznę nosi. Ale to wszystko na nic ci się nie przyda, byłeś i zostaniesz osłem.

Człowiek z czerwoną twarzą ściągał z mędrca ubranie i układał je obok na kamieniu. Mówił ciągle:

— Trzeba będzie dać ogłoszenie w gazecie, gdy właściciel się zgłosi, zwróci koszty. To ci dopiero heca! Tymczasem będziesz mi pomagał wodę wozić: dotąd sam to robiłem. Tutaj, widzisz, na przedmieściu kanalizacji jeszcze niema, tu biedota mieszka. A i studni nie znajdziesz na każdym podwórku. Więc ja ładuję beczułkę na platformę i wożę wodę od domu do domu. Wołają na mnie: woziwoda. Piękny fach i nie powinieneś przynieść mi wstydu.

W ten sposób, całkiem dla siebie niespodzianie znalazł się pan Kłapouch w nowej roli — został pomocnikiem woziwody. Narazie jego opiekun zaprowadził go do niewielkiej komórki, przyniósł mu wiązkę siana, rzucił ją na podłogę i zamknął z zewnątrz drzwi na haczyk. Pana Kłapoucha otoczył półmrok, jedynie przez szczeliny między deskami wpadały złote strzałki słońca. Pan Kłapouch westchnął.

O czem mógł dumać mędrzec w ciągu samotnych godzin w składziku, któż może wiedzieć. Zapewne niejeden problem został tu rozstrzygnięty, niejedno zagadnienie przemyślane do głębi. Były tam bowiem idealne warunki do pracy — cisza, samotność, ciemność—lepsze nieomal niż w Klubie Daltonistów.

Po paru godzinach otworzyły się drzwi i wszedł woziwoda. Teraz mógł się mu pan Kłapouch przyjrzeć dokładniej: ubrany był w szarą kurtkę, takież portki, miał rozchełstaną na szyi koszulę, spoglądał na swego jeńca życzliwie, lecz bez czułości i troskliwości, jaką otaczano mędrca w Klubie Daltonistów. Powiedział:

— No, osiełku, podjadłeś sobie, czas teraz do pracy.— Mimo iż pan Kłapouch trząsł głową, nowy jego opiekun zaprzągł go do niewielkiej platforemki, na której była umocowana spora beczka na wodę. Pan Kłapouch próbował protestować, poczuł jednak na boku ostre ściobnięcie batem: uspokoiło go ono natychmiast. Jako prawdziwy mędrzec pogodził się ze swym losem i ciągnął ochoczo wózek z beczką i woziwodą, podśpiewującym wesoło:

-- Na taczce leży beczka,
na beczce siedzi człowiek,
a w beczce zimna woda
bulgocze cokolwiek.

Taką to piosenkę śpiewał człowiek z czerwoną gębą. Zajechał też wnet na podwórze, gdzie była studnia z dużym kołowrotem, ciągnął wiadro i dalej śpiewał śliczną swą piosenkę:

...a w beczce zimna woda
bulgocze cokolwiek.

Następne dni zapowiadały się identycznie — zdawało się, że nic nie zdoła przerwać ich jednostajnego ciągu, gdy nagle pan Kłapouch zatrzymał się bez rozkazu: w głębi ulicy ujrzał trzech mężów. Był to dyrektor, prezes Klubu Daltonistów z długą siwą brodą i profesor, mąż prezeski Koła Patrjotek.

Ulica była zupełnie pusta, jedyną żywą istotą był na niej woziwoda z panem Kłapouchem. Ujrzawszy ich, trzej mężowie szybko podeszli do wózka i nie zwracając uwagi na wprzegniętego doń mędrca, zwrócili się do woziwody:

— Czy nie widzieliście, człowieku, dżentelmena we fraku o inteligentnym wyrazie twarzy i zadumanych oczach?

— Hm — ozwał się politycznie czerwonogęby woziwoda, spoglądając znacząco na swego długouchego pomocnika.

— Imię jego brzmiało: pan Kłapouch — wyjaśniał dalej pytający.

— Hm — powtórzył czerwonogęby — Być może.

— Wasze odpowiedzi nie podobają się mi zupełnie — krzyknął najmniejszy z przybyłych, którego przyjaciele zwali dyrektorem. — Jeżeliby czegoś panu Kłapouchowi zbywało, musielibyście za to odpowiadać...

— Odpowiadać...?—spytał zdziwiony i przestraszony woziwoda.

— Tak, głupi człowieku, musielibyście odpowiadać sądownie. Nie byłbym sobą, gdybym nie osiągnął dla was wieloletniego więzienia za takie przestępstwo — krzyczał podenerwowany mocno dyrektor.

— Więzienie...? O nie, panie, gdyby do mnie trafił pan Kłapouch, zaopiekowałbym się nim bardzo troskliwie. Postawiłbym go do stajenki, dałbym mu siana i wody...

— On kpi z nas sobie — krzyknął na to profesor — oo, co za chamskie obyczaje. Za takie postępowanie z panem Kłapouchem odpowiadałbyś najsrożej, nędzny woziwodo.

— Och! — krzyknął łajany, z przerażeniem spoglądając na spokojnego jak zawsze pana Kłapoucha — nigdy w świecie nie zrobiłbym tego. Ułożyłbym go w puchach, za pożywienie zaś dałbym mu ciasta i owoce.

— O właśnie, właśnie, wtedybyś postąpił właściwie. Więc pytam cię, czy nie widziałeś naszego przyjaciela?

— Przyjaciela panów... — powtórzył oniemiały woziwoda.

— Tak jest — ozwał się profesor z zapałem — mamy to szczęście, że możemy się szczycić tytułem jego przyjaciół.

— Szczęście... szczycić się... tytułem... — woźnica drapał się w głowę, patrząc na zaprzęgniętego do wózka mędrca. — I więzienie... Nie, proszę panów, takiego pana Kłapoucha nie widziałem.

Woziwoda znów spojrzał na swego pomocnika. Mruknął do siebie:

— Jakby się go pozbyć?

— Co tam burczysz? — spytał dyrektor — Czy przypadkiem nie chcesz zmylić pościgu? Pytając różnych ludzi, doszliśmy do tego przedmieścia, ty zaś jako woziwoda ciągle jesteś na ulicach. Musiałeś go widzieć. Jeżeli prosił cię o milczenie, nie potrzebujesz się tem krępować: jesteśmy jego przyjaciółmi.

Twarz czerwonogębego rozjaśniła się, gdyż strzelił mu świetny pomysł wybrnięcia z przykrego położenia.

— Owszem — powiedział — teraz sobie przypominam. Szedł powoli za miasto. Ubrany był we frak...

— ...tak... tak...

— I głowę miał schyloną ku ziemi...

— ...tak... tak... zawsze się tak trzymał. Brawo, mamy go, znajdziemy — entuzjazmował się dyrektor.

— Wiwat! Niech żyje nasz przyjaciel, nie zginie nam, nie zginie!

Woziwoda przyglądał się całej tej scenie z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Lękam się tylko, że mogą panowie nie dogonić swego przyjaciela. Widziałem go wczoraj rano, do tej chwili mógł zajść daleko. Trzebaby odrazu znaleźć jakiś wehikuł.

— Tak, koniecznie, zaraz, w tej chwili — niecierpliwił się dyrektor.

— W tej dzielnicy nic panowie nie dostaną — zapewnił woziwoda — trzebaby wracać do miasta...

— Nie mamy czasu, ani chwili — gorączkował się dyrektor.

— Więc chyba pozostaje tylko mój osiełek. Możnaby zdjąć beczkę z platformy...

— To ci dopiero pojazd — zawołął z ironją prezes.

— I co za parszywe oślisko — dodał profesor.

— Parszywe oślisko... — powtórzył czerwonogęby, który teraz nic nie rozumiał.

Ale dyrektor już krzątał się przy realizowaniu propozycji woziwody: przeciął scyzorykiem sznury tak, że beczka potoczyła się na ulicę, wziął bat w rękę i usadowił się na platformie. Prezes szybko wręczył woziwodzie pieniądze.

— Masz tu tyle, że starczy za dwie takie chabety, jak ta — to mówiąc, uderzył Kłapoucha batem po nogach. Wózek potoczył się szybko, uwożąc na sobie trzech mędrców. Czerwonogęby przeliczył pieniądze, spojrzał za ginącym już woddali pojazdem i stuknął palcem w czoło:

— Albo u mnie, albo u nich kiełbie we łbie.

Dyskusje i poszukiwania.

Na wózku zapanowała niezachwiana pewność odnalezienia zaginionego pana Kłapoucha. W związku z tem ogarnęło mędrców zadowolenie, spokój i pogoda ducha—rozmawiali o obchodzących ich sprawach, obracali się w najwyższych regjonach myśli ludzkiej, rozstrząsali podstawowe zagadnienia. Tego rodzaju czynności były ich chlebem powszednim, nie mogli przecież wkroczyć na przyziemne gawędy o dobrach doczesnych, nie mogli zaprzedać świetlanych swych duchów.

Mówili więc o sprawach najgłębszych. W pewnym momencie profesor coś wspomniał o narodzie.

— ... Mówi pan o państwie — skorygował go prezes.

— Nie państwo, lecz naród. Państwo nic mię nie obchodzi: jestem narodowcem.

— Gwałtu — krzyknął prezes — jadę z narodowcem. Panie, co pan mówisz! Przecież tylko państwo jest nam potrzebne. Naród należy zniszczyć, do cna zetrzeć wszystko, co narodowe, naród to zakała Polski, naród to nasza zguba, to nasza niewola, O biada, ten człowiek mówi o narodzie.

— Miałem pana za porządnego człowieka, a pan jest państwowcem — wycedził przez zęby profesor — fuj, co za paskudztwo. Nienawidzę państwa, państwo to podnóżek narodu. Przecież państwowcy mówią, że nawet mniejszości narodowe żyć mogą: co za hańba! I poto wywalczyliśmy niepodległość, by taka była Polska.

— Pan mówi coś o mniejszościach narodowych — krzyknął zaperzony prezes — otóż dowiedz się pan, że w Polsce tylko dla mniejszości jest miejsce. Polacy to element zupełnie niepotrzebny, szkodliwy nawet, nie mający nic wspólnego z przeszłością naszego państwa..., z najjaśniejszą Rzeczypospolitą...

— ...troyga narodów — poddał profesor.

— Ale troyga, nie jednego...

— Ale Rusini nie mieli dostępu do senatu. I słusznie...

— Nieprawda, tylko państwo...!

— Tylko naród...!

— Państwo...!

— Naród....

Krzyczeli obaj strasznie i machali rękami. Wzburzyli się tak bardzo, że już mówić nie mogli z irytacji. Za ciasno się im zrobiło obok siebie. (C. d. n.).

Redaktor naczelny: ANTONI GOŁUBIEW. Redaktor odpowiedzialny: WITOLD RUDZIŃSKI.
Wydawca: WACŁAW TARASIEWICZ. Administrator: ALFONS KACZYŃSKI.

PAX — DWUTYGODNIK

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie	bez przesyłki 3,90 zł.;	z przesyłką 4,80 zł.;	zagranicą 7,40 zł.;	w Ameryce 2,80 dol.
półrocznie	„ „ 2,10 „	„ „ 2,50 „	„ 3,90 „	„ „ 1,50 „
kwartalnie	„ „ 1,20 „	„ „ 1,40 „	„ 2,40 „	„ „ 0,90 „

UWAGA: Prenumeratę najwygodniej jest opłacać przy pomocy t. zw. przekazów rozrachunkowych (błękitnych).

OGŁOSZENIA:

Okładka: cała strona — 250 zł.; 1/2 strony — 140 zł.; 1/4 strony — 75 zł.; 1/8 strony — 40 zł.
Wewnątrz: cała strona — 150 zł.; 1/2 strony — 75 zł.; 1/4 strony — 38 zł.; 1/8 strony — 20 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, Zamkowa 14—1. Konto P.K.O. 144.229

Redakcja czynna we środy i piątki od 12 — 1.

Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godziny 12 do 2.

T-wo Wydawnicze „POGOŃ", Drukarnia „PAX", ul. Ignacego 5, tel. 8-93.